

Ladakh (Himalaje) 2011

Himalaje to obsesja. Wracając w maju z Nepalu (region Khumbu) zaplanowałem już wypad do Małego Tybetu. Miesiąc później wróciłem w Himalaje. Ladakh jest magiczny. Mistyczny. Wysokie góry, rwące potoki, długie doliny pełne jaków. Czorteny, świątynie buddyjskie, gompy.

Mahindrą na Khardung La

Jedna z najbardziej kultowych tras samochodowych na świecie. 5606 metrów n.p.m. Najwyższa przełęcz, przez którą prowadzi droga. Tą przełęcz trzeba zdobyć Mahindrą, indyjskim samochodem terenowym. Z lotniska odbie-





ra mnie chłopak i mój plecak pakuje właśnie do Mahindry. Krótka przejażdżka do hotelu pozwala na wymianę kilku kurtuazyjnych zdań. Wsiadając do wehikułu już wiem, jakie pytanie musi paść zanim wysiądę o poranku przed hotelem. Okazuje się, że za 2,4 tys. rupii można i na przełęcz wyjechać. Nie ma negocjacji, nie ma dyskusji. Kupuję butelkę wody i jedziemy! Przełęcz jak wiele innych: pod górkę, wierzchołek i z górki, a na górze kilka straganów dla kierowców ciężarówek. Wysokość czuć jednak. Przyjechałem z Delhi na wysokość 3.500 m. n.p.m., następnie Mahindrą kolejne ponad dwa tysiące w górę po serpentynach. Bez aklimatyzacji. Wychodzisz z samochodu na górze i kroku nie możesz zrobić. Podejście na małą górkę nie jest możliwe. Łyk wody, kilka fot i uciekamy w dół. Taka krótka offroadowa przygoda w Ladakh. Na mojej liście kolejnych wypraw podkreśliłem pozycję „Indie troglodytą”.



AMS

Acute mountain sickness (AMS) przychodzi znienacka. Nie da się jej oszukać. Rządzi się swoimi prawami. Jest jak bomba z opóźnionym zapłonem. Jest. Pierwszego dnia wydymałem wbrew wszelkim regułom 700 metrów do góry (Błąd I: dzienna bezpieczna „racja” to 350-500 m.). Z wysokości 3.500 m. n.p.m., na którą dostałem się dzień wcześniej (Błąd II: wskazana aklimatyzacja to 2-3 dni) samolotem. Wieczorkiem piękna sceneria z Goodfatherkiem (miejscowe piwo) w rękę (Błąd III: nigdy nie pij alkoholu na wysokości). Dobrze samopoczucie, ponieważ choroba wysokościowa przychodzi po ok. 6 h. Trzy podstawowe błędy zostały wypunktowane nazajutrz. Rano byłem sztywny, nie mogłem się ruszyć. Ból głowy. Do 15 leżałem w śpiworze. Krótki spacer po południu i kolejny sen, tym razem na czczo (Błąd IV: wbrew sobie trzeba jeść, ale jak to zwykle bywa, gadka szmatka, a rzeczywistość i tak sama maluje historię). Nazajutrz przełęcz ponad 5000 m. na kolanach, ze łzami w oczach. Jak zwykle obiecywałem sobie, „po co się pałować”, że to „ostatni raz na takiej wysokości”.

Dolina Markha

Pielgrzymka przez wysokie przełęcze, zapomniane wąwozy, wśród czortenów, świątyń buddyjskich, przez rwące strumyki i rzeki. Ze stromych zboczy schodzę wprost do rajskiej doliny, do wiosek składających się z trzech domów ulepionych z gliny i przylepionych do kruchych skał. Co kilka lat taki domek odpada, zabiera go rzeka. Taką mikroskopijną wioseczkę anonsują stare chora-









giewki modlitewne i czorteny zbudowane na najwyższej skale. Pomogłem mnichowi zataścić wodę do sanktuarium. Wypiliśmy herbatkę, pogadaliśmy. Ma 24 lata, od dwóch lat siedzi w dalekiej dolince i opiekuje się starym klasztorem. Żyje sam, pomaga na roli mieszkańcom okolicznych kilku domów. Świątynia buddyjska położona jest na malowniczym wzgórzu, z którego rozpościera się piękny widok na okoliczne białe szczyty Himalajów. W dole rzeczka, a na jej brzegach prymitywne ale uporządkowane uprawy warzyw. Na okolicznych polanach nad wioską pasą się jaki. Cisza, spokój. Raj. Nocleg w małej izbie, za ścianą osiołek, za drugą ścianą mama-jak i cielątko-jak.

Babcia rządzi wioską

Po dwóch godzinach marszu trafiam do kolejnej wioseczki złożonej z dwóch domów. Jest przedpołudnie. Po co pędzić? Po co gnać przed siebie, skoro moż-



na się zatrzymać i pomyśleć, zdrzemnąć się w cieniu, posłuchać strumienia, pójść do urokliwej dolinki nieopodal i zobaczyć piękną świątynię oraz posłuchać, jak mnisi recytują mantrę. W białym namiocie rozłożonym wśród czortenów starsza pani częstuje mnie herbatką. W strumyku znajduje się i schłodzone piwko. Najlepsze piwko to zasłużone piwko. Zwyczajne piwo nie smakuje tak, jak browarek w Londynie w zimny i dżdżysty marcowy poranek po czterech dniach w sztormie na Morzu Północnym, jak ambrozja wieczorem przy ognisku na Saharze i jak Good Father w urokliwej dolince Ladakhu po zejściu z wysokiej przełęczy. Zostaję zakwaterowany w izdebce koło kuchni. Na dole mieszkają właściciele, w szopie obok osiołki, dalej jaki, a na końcu robotnicy, którzy umacniają brzegi zabrane przez wiosenne potoki. Wieczorem dostaję od babci dwie miarki rumu, każdy robotnik po miarce i po sześć zeta za dniówkę. Babcia ma wszystko i wszystkich pod kontrolą. Wie, co komu się należy.





Osiółki

Główny środek transportu na Wyspie Księżycowej na jeziorze Titicaca w Ameryce Południowej, w wioskach regionu Khumbu i tutaj w Ladakh to osiołki. Pochyłone do przodu targają po kilkadziesiąt kilogramów jedzenia, materiałów budowlanych i innych produktów potrzebnych ludziom do przeżycia.



Jak

Owłosiony jegomość. Pasie się na wysokich stokach wynajdując trawkę. Jego latorośl jest małym kudłatym cielátkiem.





Pragnienie

Pierwszy raz w życiu poczułem, co to brak wody, na pustyni Negew. Upał niemiłosierny połączony z suchym klimatem, słońcem i wysiłkiem fizycznym oraz ograniczoną ilością wody oznacza problemy. Jeżeli nie wypijesz kilku łyków co kilkanaście minut, zaczyna Cię na początku mulić, potem, zawroty głowy, fatamorgany i, o ile nie uzupełnisz płynów, różnie się skończyć może eskapada. Zawsze staram się mieć nadmiar wody. Zwłaszcza na pustyni mój wehikuł jest obładowany dziesiątkami litrów wody. Na mojej eskapadzie w Himalajach, ze względu na chorobę wysokościową, która mi doskwierała, więcej uwagi zwracałem na ciężar bagażu (po co tyle podkoszulków? po co karimata? po co tyle bielizny? po co? po co tyle wody?!), a nie na konieczną ilość wody. Na trzygodzinną wspinaczkę na wysoką przełęcz i na czterogodzinne zejście miałem 600ml wody. Wszystko w słońcu na wysokości ponad 5000 m. n.p.m. Na przełęczy, na którą dotarłem na kolanach, została mi niecała szklanka wody. A przede mną mozolne zejście z ciężkim plecakiem. Gdy po kilku godzinach zobaczyłem z daleka czorteny, biały namiot









i szopę, ucieszyłem się. Gdy dotarłem tam po kilkudziesięciu minutach, okazało się jednak, że nie ma ani człowieka, ani picia. Usiadłem w cieniu, wyrównałem oddech i przez szparę w szopie zobaczyłem kilka butelek napojów, piwo i chipsy. Natura Prawdziwego Polaka podpowiedziała mi natychmiast, by zdemolować szopę, wykopać dziurę, zrobić wiochę i posilić się. Rozsądek szepnął jednak, że skoro jest tu szopa, to zaraz gdzieś znajdę ludzi i domy. 100 metrów dalej, za skałą, oczom moim ukazały się trzy małe domki przyklejone do stromych ścian zbocza wielkiej góry. Dwie godziny siedziałem przed domkiem i powolutku uzupełniałem płyny.



Trzech Jankesów i dwa kaszaloty

Spotkałem po drodze trzech Jankesów, którzy przemierzali tę samą drogę z przewodnikiem – sympatycznym młodzieńcem z Leh. Szli już cztery dni. Dołączyły do nas



wieczorem dwie wyjątkowo brzydkie i odrażające dziewczyny z ćwiekami na językach i z kolczykami gdzie popadnie. Wieczorem było piwo, karty. Rano usłyszałem strategiczną decyzję podjętą przez młodzież ze Stanów, Nowej Zelandii i UK: Przerywają piękny i mistyczny trekking nie docierając do połowy i wracają do miasta pobzykać się. Dymali tu dwa dni samolotem, dwa kolejne autobusem i jeszcze cztery na piechotę. Rezygnują z zobaczenia raję na ziemi. Raję, który znika w oczach, bo wkracza w niego zdemoralizowana cywilizacja z kokakolą, chipsami, GSM. Dziewczyny od pół roku podróżują po Azji. Były w kilku miejscach, które znam. Podpytuję o wrażenia i okazuje się, że nic nie widziały. Szukają kompanów do imprezki. Narzekam na młodych ludzi w Polsce. Leniwi, oczekiwania od świata nie wiem jakie, nie mają zasad, nie mają celów, nie mają marzeń. Zachodnia młodzież jest taka sama, tyle, że bardziej zdemoralizowana. Świat chyli się ku upadkowi.

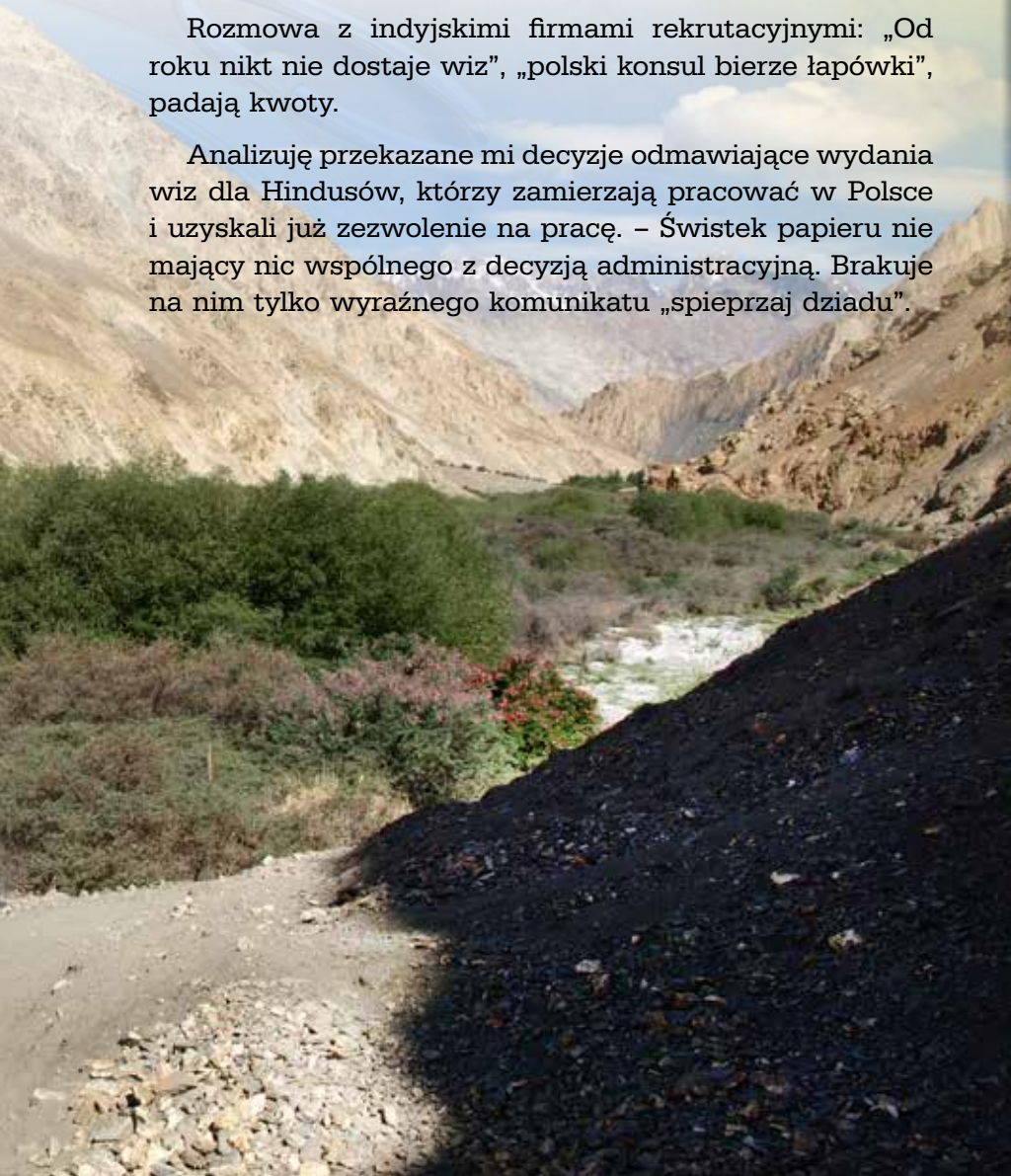


Koniec pewnej krótkiej epoki

Rozmowa z polskim ambasadorem w New Delhi: „Kraje tego regionu określane są jako kraje dużego ryzyka migracyjnego”. A które kraje naszego globu nie są? – pytam. „W zasadzie wszystkie kraje niebędące członkami UE są obciążone w dzisiejszych czasach takim ryzykiem.” – Pada szczerza odpowiedź. „Niech się cieszą, że my im wydajemy wizy biznesowe, bo nasi przedsiębiorcy takich wiz nie otrzymują”. - Hindusi m.in. w ten sposób chronią swój rynek ograniczając funkcjonowanie zagranicznych przedsiębiorców w Indiach.

Rozmowa z indyjskimi firmami rekrutacyjnymi: „Od roku nikt nie dostaje wiz”, „polski konsul bierze łapówki”, padają kwoty.

Analizuję przekazane mi decyzje odmawiające wydania wiz dla Hindusów, którzy zamierzają pracować w Polsce i uzyskali już zezwolenie na pracę. – Świstek papieru nie mający nic wspólnego z decyzją administracyjną. Brakuje na nim tylko wyraźnego komunikatu „spieprzaj dziadu”.









Rozmowa z polskim konsulem w New Delhi. Wydaje wizy dla obywateli Indii, Nepalu, Bangladeszu. „Kilkadzie-
siąt procent obywateli tych krajów znika po tym jak dotrą
do strefy Schengen.” „W Bangladeszu sami oszuści. Nie
wydaję im wiz z zasady”. „Podobnie w indyjskim regionie
Pendżab”. „Wszyscy z reguły kłamią, szukają i fałszują
dokumenty w tym regionie”.

Europa zamyka bramy dla Innego.

Inni chronią swój biznes przed europejskimi przedsię-
biorcami.

Szwajcarzy zabronili budować meczety. W odpowiedzi
na to Libia ponad rok temu zamknęła swe granice dla
wielu Europejczyków.

Francja zakazuje kobietom muzułmańskim nosić chu-
sty zasłaniające twarz.

Turecki premier nawołuje w Kolonii do tego, by turec-
ka mniejszość w Europie nie dała się zasymilować.

Konfrontacja wisi w powietrzu.

Zamieszki w Grecji, Hiszpanii i Portugalii. Ludzie bro-
nią socjału, który lokalne rządy, pod dyktando Unii Euro-
pejskiej i MFW, próbują rozpaczliwie obciążyć.

Europa się starzeje. Nikomu nie chce się solidnie pra-
cować.

Europa właśnie wpada w dryf.

Rosną antagonizmy religijne.

Do władzy dochodzi Partia
Prawdziwych Finów i inne
skrajnie prawicowe, kse-
nofobiczne ugrupowa-
nia.

Rośnie antagonizm pomiędzy zamożnymi, a ludźmi, zwłaszcza młodymi, którzy w Europie nie mają perspektyw. Wykonują pracę za kilkaset euro miesięcznie. Mieszkają u rodziców, albo w wynajętych pokojach.

Państwa szukając pieniędzy dobierają się do skóry zamożnym. Już teraz przedsiębiorca francuski, belgijski, niemiecki jest zaszczyty kontrolami. Ponad połowę dochodu oddaje żarłocznemu państwu. Byłem niedawno z polskim przedsiębiorcą w belgijskiej inspekcji pracy. Przylecieliśmy dzień wcześniej, by spotkać się z jego lokalnym kontrahentem i tegoż prawnikami. Miła rozmowa. Belg – zamożny gość, duża firma budowlana. Facet sparaliżowany kontrolą u podwykonawcy. Na osobności pytam kolegę po fachu, dlaczego jego klient taki zestresowany kontrolą u mojego mandanta. – „Tomasz, mój klient ma dzięki współpracy z polską firmą nieprzeciętnie wysokie zyski. Jest to powodem, dla którego jest permanentnie nękanym przez inspekcje podatkowe, pracy, socjalne, bhp i inne instytucje. Tu nie możesz się wybijać. Nie możesz mieć ponadprzeciętnych zysków. To podpadające. Podejrzane.”

Bardzo zamożni ludzie migrują poza Europę. Wielu niezwykle aktywnych Europejczyków zaprzestaje pracy zawodowej na rzecz korzystania ze zgromadzonego majątku, nie widząc sensu w ciężkiej pracy i w oddawaniu ponad połowy jej pożytków zdeprawowanym i leniwym masom bezrobotnych, żuli, nierobów i innych urzędników.

Jesteśmy świadkami końca ery spokojnego prowadzenia biznesu.





Bahamy? Nowa Zelandia? Azja?

Miałem naiwne marzenie, by do końca życia spokojnie pracować i eksplorować najciekawsze zakątki naszego globu. Na Sahelu rządzi Al Kaida. Trudno dotrzeć do Aïr i Ténéré, a to jedno z moich najskrytszych marzeń. Kolega pojechał do Jordanii samochodem i nie może wrócić, bo od miesiący granice z Syrią zamknięte. Bonobo ciężko będzie zobaczyć, bo w Kongu rządzą miejscowi watażkowie i warlordowie. Miałem naiwne marzenie, by pojechać w magiczne miejsca na ziemi.